

NIEWIDOCZNA GÓRA

CARO DE ROBERTIS



ALBATROS

Tytuł oryginału:
THE INVISIBLE MOUNTAIN

Copyright © Carolina de Robertis 2009

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2026

Polish translation copyright © Agata Kozak 2011

All rights reserved

Redakcja: Joanna Morawska

Projekt graficzny okładki: Agnieszka Drabek

Wydawca

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.
Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa
kontakt@wydawnictwoalbatros.com
wydawnictwoalbatros.com



**WYDAWNICTWO
ALBATROS**

UNO

Dziewczyna, która ukazała się na drzewie

W liście, który Salomé zdecydowała się w końcu napisać do córki – wtedy już zupełnie obcej młodej kobiety oddalonej o tysiące kilometrów – stwierdziła, że *wszystko, cośmy stracili, gdzieś istnieje*, tak jakby prawa fizyki potrafiły cofnąć czas i przyjść im obu z pomocą. Pamiętała ze szkoły, że energia ani nie ginie, ani też nie daje się stworzyć. Nigdy w gruncie rzeczy nie jest stracona. To samo dotyczy energii innych ludzi – jeśli nie można ich zobaczyć, znaczy to, że po prostu zmienili miejsce lub formę bytowania, a czasami i jedno, i drugie. Oczywiście, wyjątkiem są czarne dziury, które wsysają rzeczy, nie pozostawiając po nich żadnego śladu, lecz długopis w rękach Salomé posuwał się po kartce niewzruszenie, jakby owe dziury w ogóle nie istniały.

Mokra spódnica oblepiała jej nogi, a długopis niemal sam parł do przodu, jakby to nie ręka kazała mu kreślić wysmukłe „t”, „j” i „y”, supelki u podstawy „g”, zakola i zawijasy, które miały za zadanie powiązać z sobą i litery, i obie kobiety. W miarę pisania te pętelki stawały się coraz większe, jakby Salomé potrzebowała coraz więcej sznurka, aby związać to, co rozpadło się w niej, ale nie tylko – również w jej otoczeniu i zanim pojawiła się na świecie, za czasów jej matki i babki. Można było

odnieść wrażenie, że musi powiązać całą stertę historii, których co prawda sama nie przeżyła, lecz które przysły do niej tak, jak nawiedzają nas historie – całą chmurą, nieproszone, czasami cicho i dyskretnie, a czasami z takim impetem, że mogłyby człowieka utopić albo wyrzucić aż pod niebo. Niektóre historie się nie zjawily, bo pozostały niewypowiedziane. Ich miejsce zajmowała głucha, wklęśła cisza. Jeżeli jednak uznać za prawdę twierdzenie, że wszystko, co zniknęło, ma gdzieś swoje miejsce, to nawet one nadal oddychały i skrzyły się wewnętrznym blaskiem, porozrzucane po świecie.

*

Pierwszy dzień stulecia nigdy nie jest taki jak inne dni, a już na pewno nie w Tacuarembó w Urugwaju, mieścinie słynącej z tego, że każde stulecie zaczyna się tam jakimś zapierającym dech w piersiach cudem. Gotowi, ciekawi, drżący z podniecenia mieszkańcy i tego ranka nie zaznali rozczarowania, niezależnie od tego, co robili i w jakim stanie wyczekiwali pierwszych zdarzeń nowego wieku. Czy kto był pijany, czy oddawał się niecnym igraszkom gdzieś po krzakach, czy siedział na koniu, czy popijał z tykwy gorzką mate albo klepał pacierze, walcząc ze snem i wypatrując jutrzeńki nowego wieku – został nagrodzony.

Sto lat wcześniej, w 1800 roku, kiedy Urugwaj nie był jeszcze krajem, lecz zaledwie pasem skolonizowanej ziemi, przy kościelnym ołtarzu ktoś ustawił wielkie kosze jagód. Nie wiadomo, skąd się wzięły, dość, że wyglądały na pyszne i dojrzałe i że zebrano ich dwa razy więcej, niż trzeba, by nasycić całe miasto. Ministrant zwany Robustiano był przy tym, jak ksiądz otworzył drzwi i znalazł u stóp Chrystusa parujące jagody. Odtąd przez całe lata Robustiano opisywał minę księdza na widok tych trzech szerokich jak pierś mężczyzny koszy, które pociły

się w przeświecającym przez witraże słońcu, emanując zapachem, którym chciały chyba upić samego Pana Boga. Resztę dnia – i resztę życia – Robustiano spędził na opowiadaniu o tym, jak to się odbyło. „Po prostu zrobił się blady jak kreda, potem poczerwieniał, postawił oczy w ślup i, *páfate*, zwałił się na ziemię jak kłoda! Podbiegam, szarpię go, wołam: *Padre! Padre!*, ale gdzie tam, nawet nie drgnie”. Po latach dodawał: „Zapachu nie wytrzymał. No, wiecie. Pachniało jak kobita, co ją właśnie chłop zadowolili. *El pobre padre*. Sam jak palec noc w noc, to było za dużo jak na niego, te jagody rozgrzane od słońca, w kościele, po prostu za dużo jak na biednego księżula”.

Kobiety, gauczowie i dzieci zbiegli się na jagodową ucztę. Ławki pękały w szwach od tłumu. Jagody były drobne, napęczniałe, soczyste i cierpkie, całkiem inne od wszystkiego, co rosło na ich ziemi. Kiedy najedzeni ludzie zaczęli układać się do sjęsty, osiemdziesięcioletnia staruszka wdrapała się na ołtarz, by przypomnieć im legendę ze swoich młodych lat – historię cudów zdarzających się w Tacuarembó w pierwszym dniu każdego nowego stulecia. „Mówię wam – zawołała – to jest nasz cud!”. Purpurowy sok, dowód tego cudu, spływał po jej porośniętej włoskami brodzie. Cuda to cuda, powiedziała, nie da się ich ani przewidzieć, ani wytłumaczyć, i wcale nie ma gwarancji, że przyniosą człowiekowi akurat to, czego pragnie. A jednak z cudów trzeba korzystać, ponieważ nadają inny wymiar naszemu codziennemu życiu. Staruszka opowiedziała o tym, co wydarzyło się pierwszego stycznia 1700 roku, dokładnie sto lat wcześniej. Powtórzyła słowo w słowo wszystko, co jej przekazano, a nie istniał najmniejszy choćby powód, aby wątpić w prawdziwość tej opowieści. Otóż tamtego dnia przez całą dobę, od jednego wschodu słońca aż do następnego, w powietrzu brzmiały pieśni w starożytnym języku tupi-guarani. W żyłach przeważającej części mieszkańców płynęła indiańska krew i

choć już wtedy większość z nich zapomniała języka przodków, ich serca rozpoznały dźwięki, których nie sposób było pomylić z niczym innym. Wszyscy wsłuchiwali się w gardłowe okrzyki i wołania urywane jak plusk kamieni wrzucanych w strumień, lecz nikt nie dostrzegał śpiewaków: bezcielesna muzyka rozbrzmiewała z mocą, miotana podmuchami wiatru.

Pajarita nieraz słyszała o tym wszystkim w dzieciństwie – o jagodach, o pieśniach i o zalanej sokiem brodzie staruszki. Nie miała pojęcia, jak może brzmieć język guarani. W domu poznała tylko miejscową wersję hiszpańskiego, buzowanie ognia, staccato noża krojącego cebulę, cichy szelest spódnicy ciotki Tity, zgrzytliwe akordy wysłużonej gitary brata, krakanie wron, stukot końskich kopyt, pisk kurcząt, kiedy chciała je nakarmić, a poza tym składanie, szorowanie, zamiatanie, przycinanie, mieszanie w garnkach i przelewanie z naczynia do naczynia, czyli wszystko to, czym nieustannie zajmowała się Tía Tita. Ciotka prawie się nie odzywała, chyba że opowiadała jedną ze swoich historii pełnych najdrobniejszych szczegółów, płynących z jej ust jak rzeka, której nikt nie mógłby zatrzymać – i wówczas żądała od słuchaczy niepodzielnej uwagi. Snuła opowieści przy gotowaniu posiłków. Jej słowa pieniały się, piętrzyły i rozlewały, wypełniając jedyną izbę ich chaty chybotliwymi sylwetkami zmarłych.

– Powinnaś się dowiedzieć, dlaczego twój brat ma na imię Artigas – mawiała.

Dla Pajarity był to sygnał, że powinna przyjść i zająć się krojeniem wołowiny, którą potem Tía Tita udusi z warzywami. Znała zarysy tej historii równie dobrze, jak kształt noża, zanim go wzięła do ręki. Kiwała głową, podchodziła i otwierała szeroko uszy, jakby otwierała zaporę na rzecę.

– Dostał imię na pamiątkę waszego pradziadka. Wiem, że niektórzy w to nie wierzą, ale moim dziadkiem był José Gerva-

sio Artigas, wielki wyzwoliciel Urugwaju. To szczerą prawdą. Był przywódcą Indian i gauczów w walkach o niepodległość i wyzwolicielem niewolników. To akurat wszyscy wiedzą i o tym opowiem następnym razem. Ale José Gervasio zasadził też ziarenko w brzuchu córki pewnego gaucza. Miała na imię Analidia, włosy długie do kolan i robiła najlepszą kaszanke po tej stronie Rio Negro. Liczyła sobie czternaście lat. Ludzie nie będą chcieli ci wierzyć, ale nie przejmuj się tym, nie możesz pozwolić, żeby ta historia umarła. *Mira*, Pajarita, krój mięso trochę drobniej. O tak.

Obserwowała bratanicę, dopóki się nie upewniła, że ta postępuje według jej wskazówek, po czym nachylała się nad paleniskiem i przewracała węgle. Za jej plecami unosiła się w powietrzu dziewczyna o wielkich oczach, kruczoczarnych włosach i półprzezroczystej skórze, której dłonie rytmicznie mieszały mięso na kaszanke.

– *Pues* w tysiąc osiemset dwudziestym roku nasz José Gervasio spędził w kryjówece jedną gorącą noc z Analidią, a zaraz potem poniósł klęskę z rąk Brazylijczyków. Uciekł w paragwajskie lasy i słuch o nim zaginął. Analidia wydała na świat zdrową dziewczynkę, Esperanzę, moją matkę. Pamiętałaś jej imię? Była silniejsza od rozjuszonego byka. Kiedy dorosła, jej serce zdobył El Facón, szalony gaucho, twój przyszyły dziadek. W rzeczywistości nazywał się Ricardo Torres, ale w krótkim czasie zdobył sobie przydomek, który naprawdę odpowiadał temu, kim był. Nikt nie potrafił posługiwać się nożem *facón* tak jak on. Nawet anioł z nieba by mu nie dorównał.

Przy krojeniu wołowiny Pajarita miała przed oczami obraz swojego dziadka jako młodego gaucza. Jego wyciągnięty ku niebu fakon lśnił w słońcu, a z ostrza skapywały na ziemię krople krwi zabitego właśnie byka.

– W tamtych dawnych czasach, zanim ja i twój ojciec

przyszliśmy na świat, El Facón sływał z łagodnego głosu, krewkiego usposobienia i tego, że nigdy nie chybiał. Swobodnie przemieszczał się po bezkresnych przestrzeniach zaopatrzonej w fakon, *bolás* i *lasso*; pędził bydło, a potem zabierał mięso i skóry do portów na południu. Gdy wracał do domu, przywoził prezenty dla Esperanzy: ozdoby z Indii i z Rzymu kupione prosto ze statków, które właśnie przypłynęły z odległych krain. Jej jednak nie zależało na błyskotkach. Odkładała je na kupkę w kącie chaty. Pragnęła tylko jednego: być blisko niego, a ponieważ to nie mogło się spełnić, cierpiała. Była sama, kiedy mnie rodziła. Doprowadzała się do szaleństwa, wróżąc z fusów *ombú* i *ceibo*, z których potrafiła wyczytać przerażające ostrzeżenia. Nic dziwnego. Wszędzie srożyła się wojna. Wraz ze zmianą pór roku pojawiał się nowy tyran, który zbierał wojsko, mordował inne wojsko, zagarniał władzę, by następnie ją stracić. Młodzi mężczyźni zabijali się wzajemnie i rzucali psom na pożarcie szczątki wroga. W ziemię wsiąkło tyle krwi, że aż dziw, że nie zmieniła koloru na czerwony. Nie rób takiej miny, Pajarita. Patrz, woda się gotuje.

Pajarita kucąła przy rozżarzonym palenisku i wkładała mięso do garnka. To było krowie mięso, nie ludzkie. Przedwieczorne słońce rzucało ostatnie promienie na brudną podłogę, stół i skóry, które służyły w nocy za przykrycie – wkrótce trzeba będzie zapalić lampę.

– No i tak żyli sobie El Facón z Esperanzą na ziemi, na której co i rusz toczyły się jakieś walki. W końcu nastali bracia Saravia, Aparicio i Gumersindo. Gumersinda naznaczył zły los. Przystąpili do formowania armii tu, w Tacuarembó. Koniecznie chcieli zrzucić jarzmo ostatniego tyrana i byli pewni zwycięstwa. Twój dziadek, El Facón, wierzył w każde ich słowo. Poszedł za nimi jak w dym, poza granice Urugwaju, aż do Brazylii, hen, na pola bitew. Zobaczył tam rzeczy, o których nigdy

nie chciał pisać ani słowa. Przysięgał, że nawet w piekle by o nich nie powiedział, bo diabeł by tego nie wytrzymał. Więc nie wiadomo, o co dokładnie chodziło, ale wiemy, że gołymi rękami wykopał grób dla Gumersinda, a potem musiał się przyglądać, jak wrogowie odkopują ciało, odcinają trupowi głowę i z nią paradują. W końcu, po trzech latach, wrócił do Esperanzy. Zbudowali *ranchito*, na którym teraz żyjemy, a potem urodził się twój ojciec, tak jak później urodził się tu twój brat Artigas. Taka jest historia imienia Artigasa.

Tía Tita pomieszała mięso w garnku i zamilkła. Pajarita zajęła się zmywaniem misek i noży. W środku aż drżała na myśl o odciętych głowach, długich, długich włosach i zamorskich klejnotach.

*

Brat Pajarity, Artigas, dokładnie pamiętał dzień, w którym sprowadziła się do nich Tía Tita: to było w 1899 roku, kiedy Pajarita urodziła się po raz pierwszy, przed sprawą drzewa i przed cudem.

Tamtego roku skończył cztery lata, a jego matka, La Roja, zmarła w połogu. Zostały po niej morze krwi i dziecko o wielkich, czarnych oczach. Poprzedni poród też zakończył się śmiercią, tyle że wtedy zmarło dziecko, a Mamá przeżyła i dalej gotowała mu jedzenie i śpiewała do snu. Tym razem przestała się ruszać. Krew przesiąknęła przykrycia ze skór, których rodzina używała do spania, tak że na pewno nie mogły się już do niczego przydać. Artigas ze zgrozą patrzył, jak jego ojciec, Miguel, ze szlochem szorował po nich twarzą, tak że umazała się na czerwono. Noworodek darł się wniebogłosy, ale Miguel nie zwracał na niego uwagi. Tej nocy w ich chacie nikt nie zmruczył oka. Rano zjawiła się Tía Tita i rozejrzała się po izbie. Obity krowią skórą taboret, na którym siadywała przy stole La Roja,

zmienił miejsce. Miguel siedział na nim bez ruchu, twarzą do ściany, z rękami zaciśniętymi na siedzisku. Za jego plecami, na skórkach pokrytych skrzepniętą krwią, zobaczyła skulonego Artigasa z wijącym się w spazmach noworodkiem. Palenisko było zimne i puste. Tía Tita przyniosła drewna na podpałkę, zeszkrobała plamy krwi ze ścian, przyrządziła tortas fritas, wyrzuciła zniszczone skóry i wyczyściła ubrania. W odległości czterech pagórków znalazła mamkę chętną wykarmić swoim mlekiem nienazwaną jeszcze dziewczynkę. *Esa bebida* – dzidzia – mówili o niej ludzie w Tacuarembó, gdy przychodzili do studni po wodę.

Artigas był zadowolony, że Tía Tita, ciotka podobna do drzewa ombú z jego szerokim pniem, pełna życia, choć milcząca, została z nimi. Zwiął się w kłębek w jej cieniu, oddychał równo przez sen, oparty o ciepłą korę jej ciała. Po zimie nastały upały, a potem znowu przyszły chłody. Miguel zrobił się twardy jak za mocno uwędzone wołowe mięso. Nigdy nie dotknął dziewczynki. Pewnej nocy, kiedy zimowy wiatr świstał przez szpary w splekanych ścianach, a wierzchołki drzew kołysały się na wszystkie strony na tle nieba rozświetlonego przez księżyc tak okrągły, jakby zaraz miał się ocielić, dziecko zaczęło płakać w ramionach Tity.

- Ucisz ją, Tita – warknął Miguel.
- To przez wiatr. W dodatku zęby się jej wyrzynają.
- No to zabij tę małą dziwkę!

Artigas aż się skulił w kącie. Jego bezimienna siostra wpatrywała się w ojca wielkimi oczami.

- Miguel – powiedziała Tita.
- Zamknij się.
- Miguel, uspokój się.
- Jestem spokojny. Powiedziałem, żebyś ją zabiła.

Tía Tita ścisnęła mocniej dziewczynkę w ramionach i

spojrzała na brata, a ten na dziecko, które w dalszym ciągu nie spuszczało z niego wzroku. Artigas poczuł, że boli go brzuch. Nie mógł znieść wyrazu twarzy ojca, który wyglądał tak, jakby był zdolny posiekać ich wszystkich na kawałki. Ogień na paleniku zasyczał i przygasł. Miguel odwrócił się i odsunął skórzaną zasłonę przy drzwiach. Artigas wyobraził sobie ojca stojącego samotnie na dworze, z gwiazdami migoczącymi nad głową. W pewnej chwili usłyszał, że wsiada na konia i rusza przed siebie, przez równinę.

Rano niemowlęcia już nie było. Mimo że wszyscy spali razem, nikt nie poczuł, kiedy zniknęło. Mimo że przeczesali każdy skrawek ziemi w okolicy, nie znaleźli kompletnie nic – ani śladów raczkowania, ani też małego ciała. Po tygodniu opinia publiczna w Tacuarembó ogłosiła, że dziewczynka nie żyje lub też, jak to ujęła doña Rosa, aniołki zabrały ją do nieba. Umarła z głodu. Umarła porzucona. Umarła w szponach sowy, bezimienna i niechciana. Miguel nie mówił nic, nie potwierdzał, nie zaprzeczał, nie płakał ani też się nie uśmiechał.

Jedna Tía Tita nie przestała szukać dziewczynki, wydeptując równym krokiem dziesiątki kilometrów, jak niezmordowana klacz. Zaglądała wszędzie: na zielone pola i niskie pagórki, między gęste krzaki, wysokie i cieniste drzewa, na spalone słońcem zbocze, które prowadziło do miasta, na główny plac, do kościoła, do trzech kamiennych studni, do domów i do innych z rzadka rozsianych w przestrzeni *ranchitos*, byle jak skleconych pudełek z otworami okiennymi jakby wyrżniętymi nożem, gdzie kobiety na jej widok kłaskały językiem i rozkładały ręce. W nocy Tía Tita parzyła herbatę z liści ombú i ceibo. W ich gorących, mokrych kształtach szukała wieści o losie dziewczynki, o miejscu, w którym przebywa, a przynajmniej o tym, czy żyje, czy już umarła. Nic z tego nie wynikało, lecz nie dawała za wygraną.

Czasami zabierała z sobą na poszukiwania Artigasa. Jedna z tych wypraw wywarła na nim niezatarte wrażenie (jeszcze lata później, gdy jako dorosły mężczyzna przedzierał się przez dżunglę, zadawał sobie pytanie, czy gdyby nie tamten dzień, narażałby się w ten sposób, zamiast pędzić monotonne życie w Tacuarembó). Nadeszła niedziela i wybrali się do miasta na mszę. Artigas nienawidził tego kościoła w mieście, bo był on ostatnim miejscem, w którym widział matkę przykrytą czarnym całunem i polnymi kwiatami. Ksiądz przemawiał z takim przejęciem, że aż ślina gromadziła mu się w kącikach ust. Artigasa rozboleły od klęczenia kolana. W drodze powrotnej ciotka ściągnęła wodze i bez słowa wyjaśnienia zmieniła trasę. Artigas patrzył na trawę, na wysokie eukaliptusy i na pasące się w oddali owce. Żadnego śladu po siostrze. Jechali w milczeniu, w palącym słońcu.

Minęła godzina. Chłopiec zaczął się niecierpliwić.

– Tía – zwrócił się do ciotki – jak długo jeszcze będziemy szukać?

Ani nie odpowiedziała, ani nie zwolniła. Jej spódnica łopotała na wietrze, objając się o koński grzbiet. Artigas pomyślał, że może jadać po jakieś specjalne korzenie, ząbkowane liście albo gorzkie pędy do uzdrawiających naparów i balsamów ciotki. Zawsze coś zbierała. W mieście znali ją z tego, że podkasywała spódnicę aż do ud i nosiła w niej zielsko, które zwędziła z cudzej parceli. Chłopcy od Gardelów dokuczali mu: „Widzieliśmy twoją ciotkę, miała nogi całe w błocie. Twoja ciotka to wariatka, szuka nieżywych dzieci”. Artigas wracał wtedy do domu podrapany, posiniaczony, ale zwycięski.

Tía Tita w końcu się zatrzymała. Ześliznęła się z konia i stanęła nieruchomo. Artigas zrobił to samo.

Stali na nieznanym polu. Na horyzoncie nie było ani krów, ani owiec, ani ludzi, nikt nie spuszczał z nieba małych

dziewczynek, po prostu nie było tam niczego oprócz trawy i dwóch drzew ombú. Pustkowie. Sióstr nie znajduje się na pustkowie. Mała dziewczynka nie mogłaby przeżyć w dziczy. Nawet gdyby wreszcie natknęli się na jakiś ślad, byłyby to tylko nędzne resztki, kości i niedojedzone wnętrzności, jak padlina owcy. Artigas usiadł i spoglądał na plecy ciotki z długim, ciemnym warkoczem biegnącym przez środek jak ozdobny szew. Zachowywała się nienaturalnie cicho. Czekał. Nic się nie działo. Słońce zaczęło się zniżać. Było mu gorąco. Miał ochotę uderzyć coś lub kogoś, plasnąć ręką w to nagie, jałowe pole, w ciężkie słońce albo w dziwne, nieruchome plecy Tity. Skoczył na równe nogi.

– Tía, co my tu robimy?

– Słuchamy. Słuchamy ptaków.

Artigas otworzył usta, żeby zaprotestować przeciwko temu nonsensowi, lecz nie wydobyło się z nich żadne słowo, ponieważ w czasie między jednym a drugim oddechem okazało się, że jest już za późno – muzyka pół zalała całe jego jestestwo, ptasi śpiew buchnął z nieba i spomiędzy liści, ciało chłopca się otworzyło, w kościach miał rozświergotane ptaki, w jego członkach byli ukryci niepozorni, maleńcy śpiewacy i wypowiadali wszystko, czego się nie da wypowiedzieć, cały ten lament i krzyk, i kłaskanie, prawie nie do zniesienia, niezmordowane gardziółka, wielki, szeroki świat przekraczający wszelkie pojęcie, tajemnicza muzyka zdolna unieść go hen, daleko, skąd nigdy by nie wrócił. Przepęłniło go przerażenie i jeszcze jakieś inne uczucie; musiał zrobić siusiu albo się rozplakać, ale nie mógł, więc tylko ukrył buzię w pachnącej trawie i słuchał ptaków.

Tamtego dnia nie znaleźli dziewczynki. To nie Tía Tita ani też nie Artigas, lecz Carlita Robles przygalopowała w Nowy Rok na placyk z nowiną. Artigasowi mignęły w locie jej kasztanowe warkoczki, które miały dokładnie ten sam odcień i

połysk, co maść jej konia, jakby wykąpały się w kadzi z tą samą farbą. Moment był doskonale wybrany. Nowe stulecie liczyło sobie zaledwie dziewięć godzin. Kocie łby na placu odbijały poranne słońce, prażące maruderów, którzy jeszcze nie wrócili do domów po zabawie – pijaków, młodocianych kochanków, bezpieczeństwa psy i Artigasa brzdąkającego na swojej wysłużonej gitarze. Pobożna doña Rosa wciąż jeszcze tkwiła w kościele, w którym klęczała od północy. Pościła od Bożego Narodzenia, aby Bóg zesłał im piękny cud, a nie jakąś masakrę, cholere, powódź albo zdradę małżeńską (nikt nie brał jej dewocji zbyt poważnie, bo odkąd trzy lata wcześniej jej syn zniknął ze zbuntowanymi oddziałami Aparicia Saravii, cały czas spędzała na postach i modlitwach, tak że gdy jej mężowi kieszki grały marsza, bo garnki stały puste, jechał prosto do kościoła i wywlekał stamtąd żonę, żeby ugotowała mu obiad. Ludzie nie mogli się nadziwić jego cierpliwości. Zostać rogaczem z powodu Pana Boga, co za los!).

– Widziałam! Widziałam cud! – krzyczała Carlita. – Widziałam dziecko na drzewie!

Artigas odłożył gitarę, młodociane parki przestały się obcałowywać, a siedzący na ławce sklepikarz Alfonso uniósł ciężką od alkoholu głowę.

– Nie zdawało ci się?

– Gdzie tam! Słowo daję, widziałam cud!

– Chodźmy sprawdzić.

Najpierw wstąpili do kościoła, zawiadomić doñę Rosę. Cętkowane światło padało przez okna na ich głowy, na ławki i na pochylone plecy pobożnej kobiety. Carlita zamoczyła palce w wodzie święconej i pospiesznie się przeżegnała. Artigas nie odstępował jej na krok (była taka ładna).

– Doña Rosa – wyszeptła Carlita. – Jest cud. Widziałam dziecko na drzewie ceibo!

- Dziecko? – Doña Rosa uniosła wzrok znad różańca.
- Przecież mówię.
- Aha. Chwała Bogu.

Ruszyli konno zakurzoną ścieżką ku wschodniej granicy Tacuarembó. Artigas zaczął walczyć z sennością, która go dopadła pod wpływem miarowego ruchu zwierzęcia. Czuł się wyczerpany, a jednocześnie podniecony po bezsennej nocy. Nie zamierzał odpoczywać; był gotów jechać nie tylko na skraj miasta, ale i na skraj świata, jechać, jechać i jechać. Przecież zaczęło się nowe stulecie, ukazało się dziecko – to co prawda niemożliwe, a jednak... Okolica raziła jego oczy jaskrawymi kolorami, letnie trawy były zielone i złote, poranne niebo błękitne, z drewnianych ciemnobrązowych *ranchitos*, które mijali, coraz to dołączali do nich kolejni jeźdźcy. Kobiety w chustkach wystawiały głowy przez próg, aby zapytać, co się dzieje, po czym zostawiały rozżarzone węgle na paleniskach i biegly zobaczyć cud. Mężczyźni odrywali się od mate, odwiązywali konie i sadzali dzieci na siodła.

Grupa podwoiła liczebność raz, potem drugi, zupełnie jak armia, która przetacza się przez kolejne miasta. Kiedy dotarli pod ceibo, słońce minęło już zenit i zaczęło się zniżać. Drzewo górowało nad studnią położoną we wschodniej części miasta, a na jego samym szczycie, jakieś trzydzieści metrów nad ziemią, zobaczyli co najwyżej roczną dziewczynkę uczeptioną cienkiej gałęzi.

Miała wystające kości policzkowe i zmierzwione włosy, które opadały na nagą pierś; jej skóra była o dwa tony jaśniejsza niż płynna czekolada. Okrągłe i wilgotne oczy dziewczynki przypominały urodzinowe ciastka. Nie wyglądała na przestraszoną i nie przejawiała specjalnej ochoty, by zejść z drzewa.

Artigas zadarł głowę. Koniecznie chciał spotkać wzrok dziewczynki. *Mírame*, myślał.

- To czarownica – orzekła jedna z kobiet.
- Jakaś *bruja* przysłała nam *brujię!*
- Co za bzdury – uniosła się doña Rosa. – Ona jest aniołem. Zjawiła się tu po to, żeby uświęcić Tacuarembó.
- A niby czym będzie święcić? Wodą deszczową czy sikami?
- To nie anioł, ale zwykłe dziecko.
- Tylko że brudne.
- Może to jest dziecko Garibaldiego. One ciągle łążą po drzewach.

- To synowie Garibaldiego łążą po drzewach.
- Ale oni wchodzą tylko na ombú.
- To prawda. Jak ktoś mógłby wejść po takim pniu?

Szyje pięćdziesięciorga ludzi wyciągnęły się ku dziewczynce. Drzewo zdawało się niebotycznie wysokie. Gúúdyby to było zwyczajne ombú z niskimi, zachęcającymi do wspinania się gałęziami, nikt nawet nie pomyślałby o cudzie ani o legendzie, którą można będzie opowiadać przez najbliższe dziewięćdziesiąt lat. Mieli jednak przed sobą najwyższe ceibo, jakie kiedykolwiek widzieli – najniższe gałęzie zwieszały się wiele metrów nad ziemią. Żaden dorosły z dzieckiem na ręku nie zdołałby się na nie wdrapać, nie mówiąc już o samym dziecku.

- Doskonale. Doña Rosa doczekała się cudu.
- Wszyscyśmy się doczekali.
- Cud to cud, co tu więcej gadać?
- Nic. Trzeba tylko Bogu podziękować.
- Skoro tak mówicie.
- A mówię, oczywiście, że mówię.
- Nie miałem na myśli nic złego.
- Aha.
- Słuchajcie wszyscy, nie ma co się kłócić.
- Musimy coś wymyślić, żeby sprowadzić ją na dół.
- Przynieść drabinę!

– Może by ją strącić z tej gałęzi?
– Nikt nie ma takiej wysokiej drabiny, wiem coś o tym, przecież to ja wyrabiam drabiny dla całej okolicy.
– Spróbuję się tam wdrapać.
– Człowieku, ty ledwie potrafisz się wdrapać na swojego konia!

– Może powinniśmy poczekać na jakiś znak?
– I co jeszcze? Mamy ją tam zostawić na następne sto lat?

Dziewczynka siedziała spokojnie nad całą tą wrzawą, prawie się nie ruszając. Artigas myślał: *Mírame*, ona zaś kręciła głową to w tę, to w tamtą stronę. W końcu ich oczy się spotkały. Ty. Ty. W ich spojrzeniach kryły się życie i moc, ich spojrzenia były żerdzią wyciągniętą między nimi, niewidoczną, lecz niemożliwą do złamania – tak przynajmniej się wydawało.

– Znam ją! – zawołał. – To moja siostra.
Pięćdziesiąt głów zwróciło się ku chłopcu.

– Twoja siostra?
– Co za siostra?
– To znaczy... jemu chodzi o to...

– Biedaczek.

– Biedny chłopak.

– Posłuchaj, Artigas. – Carlita Robles przykucnęła koło niego. – To nie może być ona.

– Dlaczego nie?

– Za wiele czasu upłynęło.

– Niemożliwe, żeby przeżyła.

– Taka mała dziewczynka nie mogłaby sama przeżyć.

– Ale przeżyła – upierał się Artigas.

Carlita i doña Rosa wymieniły spojrzenia.

– A poza tym, jeżeli to nie ona, to skąd się wzięła ta dziewczynka?

Doña Rosa otworzyła usta, ale zaraz je zamknęła. Nikt się

nie odezwał. Artigas znowu spojrzął w górę, na dziewczynkę siedzącą na czubku drzewa. Ona też na niego spojrzała. Była daleko od niego, za to blisko nieba, lecz mógłby przysiąc, że widział jej oczy jak głębokie jeziora, szeroko rozwarte, z czerwonymi żyłkami na białkach. Wyobraził sobie, że szybuje w górę, żeby się do niej zbliżyć.

– Poczekaj na mnie! – zawołał.

Wsiadł na konia i pogalopował w dół wzgórze.

Tía Tita, zajęta oskubywaniem kurczaka, siedziała przed chatą. Opowiedział jej szczegółowo o tym, co rano wydarzyło się na placu, o ludziach zebranych wokół ceibo, o dziewczynce na gałęzi. Ciotka słuchała go z twarzą zwróconą ku słońcu. Jej usta się poruszały, ale nie wydobywał się z nich żaden dźwięk. W końcu wytarła ręce w fartuch i zdjęła go z szyi.

– Idziemy – rzuciła.

Kiedy dotarli pod ceibo, zastali tam krąg złożony z większości mieszkańców miasteczka. Kobiety przyprowadziły dzieci, dzieci przyprowadziły dziadków, mężczyźni przyprowadzili żony, a bezpieczne psy z placu przyprowadziły się wzajemnie. Konie pasły się na trawie. Doña Rosa, nie zważając na to, że ubrudzi suknię, klęczała na ziemi i żarliwie się modliła, przesuwając palcami po paciorkach różańca, pobłogosławionego sześćnaście lat wcześniej przez papieża. Syn sklepikarza wyciągnął drewniany flet. Psy na zmianę ujadały i powarkiwały. Z ręki do ręki krążyły tykwy mate i koszyki wypełnione smakowitymi empanadas. Kłótnie na zmianę wybuchały i uspokajały się, by po chwili znowu rozgorzeć. Sprzeczano się o dziewczynkę, o jedzenie, o to, kto ile wypił, a także o to, co i z kim porabiał ostatniej nocy na placu. Dziewczynka przypatrywała się tłumowi spomiędzy gałęzi, które podtrzymywały ją jak opiekuńcze ramiona.

Tía Tita i Artigas zsunęli się z siodła, na którym razem

siedzieli. Zapadła cisza. Tía Tita była niewysoka, ale wydawała się duża, miała mocną szczękę i zachowywała się władczo.

– Zostawcie nas same – powiedziała do ludzi, chociaż patrzyła na dziecko.

Nikt nie miał ochoty przerywać biesiady ani tracić wido-wiska, trudno jednak było sprzeciwić się tej dziwnej kobiecie, która niczego się nie bała i którą wzywano w miasteczku na pomoc, kiedy starców bolały stawy albo żołnierzom płynęła z ust piana. Tłum się rozszedł, chociaż powoli i z ociąganiem.

– Ty też, Artigas.

Zrobił, jak kazała. Czuł pod spoconymi udami leniwe ruchy stąpającego powoli konia. Powietrze było rozpalone, ciężkie i gęste. Stał przy gromadce, która zebrała się w cieniu ombú, i przekręcił się w siodle, by sprawdzić, co się dzieje za jego plecami. Tita i zawieszona między gałęziami dziewczynka nadal tam były, dwa ciemne punkty na tle niewzruszonego nieba. Tita uniosła ręce, jakby w oczekiwaniu, a wtedy czubek drzewa się poruszył, coś mignęło w powietrzu – i Tita zacisnęła ramiona wokół kształtu, który spadł na jej pierś. Artigas obserwował, jak ciotka odchodzi spod drzewa i pieszo kieruje się w stronę domu. Zanim wzeszedł księżyc, całe Tacuarembó знаło już historię o upadku, który zamienił się w lot, czy też o locie, który zamienił się w upadek.

Nazwano ją Pajarita. Ptaszyna.

*

Nie każde życie zaczyna się w podobny sposób. Na przykład taki Ignazio Firielli. Nigdy nie zniknął ani się nie odnalazł, w żadnej wiosce ani miasteczku nie uznano go za zjawisko nadprzyrodzone. W jego życiu, kiedy był już dorosłym mężczyzną i znalazł się z dala od domu, zdarzył się co prawda magiczny dzień, ale tylko jeden jedyny, a cała magia służyła temu, aby

pchnąć go na drogę miłości. Tak przynajmniej opowiadał o tym lata później wnukom, a zwłaszcza słuchającej go z uśmiechem Salomé, przemilczając wszelkie nieprzyjemne szczegóły. Mówił o spojrzeniu pewnej kobiety, która uległa jego czarowi wytrzaśniętemu z rękawa. Był wtedy skromnym magikiem, występował wraz z wędrowną trupą w swoim jarmarcznym garniturze. Pamięć jest jednak mistrzynią zręcznych sztuczek: potrafi pięknie oświetlić wszystko, co miłe, a sprawy bolesne i niezręczne spycha w cień.

Zanim Ignazio odkrył magię, Urugwaj i kobiety, które rodują się na drzewach, poznał Wenecję. Zapisła się w jego ciele – miał w sobie arterie jej kanałów, jej język melodyjny jak brzęk mosiądzu, zapach wody morskiej, bazylii i świeżo pociętego drewna w rodzinnym domu. A już przede wszystkim poznał gondole. Jego rodzina żyła z budowania gondoli wszelkich rozmiarów i stylów. Wygięte łukowato deski stały pod oknami; Ignazio pieścił je wzrokiem, wodził oczami po ich krągłościach i wiedział, że jest stąd, że przynależy do tego miejsca. Gondola sunie z człowiekiem po powierzchni wody, nie pozwala utonąć – on, Ignazio, nie musi bać się utonięcia, skoro wokół tyle pokładów i dziobów, i wiosł, tyle gondoli, z których jedne wożą ludzi na rynek, inne na śluby, inne służą do łowienia ryb, a jeszcze inne, te najważniejsze, odprowadzają zmarłych na Wyspę San Michele.

Gondole łączyły Wenecjan z ich zmarłymi. Łączyły Ignazia z jego zmarłymi. W zakamarkach jego domu kryły się historie o zmarłych i o gondolach. Kiedy miał jedenaście lat i siedział sam z dziadkiem w warsztacie, ten wyjawiał mu przeszłość. Zazwyczaj Nonno Umberto nie był zbyt rozmowny. Całe godziny spędzał przy oknie, kołysząc się w fotelu na biegunach, który zbudował kiedyś jako młody chłopak. Spokojny, cichy, składał na kolanach kościste ręce i patrzył na odbicia domów na wodzie

i na pościel łopoczącą na sznurach, choćby nawet z kuchni wydobywały się nie wiadomo jak głośne wrzaski. Był głuchy, a przynajmniej tak utrzymywał. Ignazio nigdy nie dowiedział się, jak rzecz się miała naprawdę. Szukał ciszy lub choćby jej namiastki, więc przychodził do dziadka i siadał na stołeczku u jego stóp. Pewnego dnia trafił na opowieść – tajemną, nieuchwytną, sekretną i żarliwą jak spowiedź.

Dawno temu, powiedział Nonno, rodzina Firiellich wypracowała sobie skromne źródło utrzymania – konstruowanie prostych gondoli. Zajmowała się tym od wieków, więc spodziewała się, że taki stan rzeczy potrwa przez następne stulecia. Kiedy Nonno się urodził, było oczywiste, że też będzie budował gondole. Dorósł, ożenił się, spłodził siedmioro dzieci, które – tak jak on kiedyś – dorastały wśród stosów desek przygotowywanych do obróbki w słonej wodzie. Dla Wenecji nastał niedobry czas. Szalała cholera, nikt nie jadał do syta, na San Michele nie nadążano z grzebaniem zmarłych. „Austriacy”. Nonno Umberto chwycił szpamatycznie koc okrywający mu kolana. Ignazio pomyślał, że gdyby koc był żywy, musiałby krzyknąć z bólu. „Mieli krew na rękach. Ograbili nas i zostawili, żebyśmy zdechli”.

Promienie słońca kładły się na ścianach i na szkieletach łodzi, rozstawionych dookoła. Nonno patrzył przez okno. Ignazio skierował wzrok w tym samym kierunku i ujrzał Austriaków z dawnych czasów, rosnących mężczyzn o strasznych twarzach, w dziwnych czapkach. Płynęli, półleżąc, gondolą i naśmiewali się po drodze z żebraków na mostach i nabrzeżach. W kuchni kłótnia trwała w najlepsze, rozległ się krzyk matki, potem ojca, następnie plaśnięcie, ktoś upadł, a później znowu dały się słyszeć krzyki.

Nonno mówił dalej: zaczęła się rewolucja. To był 1848 rok. Wenecjanie przepędzili Austriaków. Umberto i tysiące innych

tańczyli na stopniach katedry aż do wschodu słońca. Miasto buzowało nadzieją. Zyskało wolność i niepodległość, będzie można przywrócić mu wielkość. Tak rzeczywiście było przez rok, a potem wrócili Austriacy. Cholera rozszalała się z nową siłą. W sześć miesięcy zabrała sześcioro dzieci Umberta. Cztery córki i dwóch synów. Jeden Diego przeżył („twój ojciec, Ignazio, tylko twój ojciec”). W noc śmierci swojej ostatniej siostry Diego zamilkł i nie odezwał się przez następne dwa lata i trzydzieści siedem dni. Tej nocy Umberto usiadł przy łóżku milczącego syna, wymęczony jak wyżęta do ostatniej kropli szmata. Przyszedł grabarz, cały w czerni, z twarzą zasłoniętą kapturem z wyciętymi otworami na oczy. Spojrzał na Diega przez te szpary.

- Nie patrz na mojego syna – warknął Umberto.
- Nic mu się nie stanie.
- Nie patrz na niego.

Grabarz uniósł ręce. Umberto uderzył go tak, że mężczyzna zatoczył się do tyłu, a on zadawał ciosy, dopóki nie rozpląszczył mu kaptura na głowie.

– Oby gorączka strawiła twój dom! Obyście wszyscy zgnili! – krzyknął grabarz i powłókł się na dwór, nie zabrawszy ciała dziewczynki.

Później, tej samej nocy, Umberta obudził szelest u stóp łóżka. Zobaczył anioła. („Przysięgam, to był najprawdziwszy anioł, miał skrzydła i wszystko!”). Umberto siedział przez minutę w promienistej ciszy, po czym poprosił anioła, aby jego ostatni syn został oszczędzony. Anioł odrzekł: „Bóg słyszy to, co niesie się po wodzie”. Koniuszek skrzydła musnął głowę Umberta i ten od razu z powrotem zasnął. Rankiem wszedł do warsztatu i nie wychodził stamtąd przez trzy dni i trzy noce, dopóki nie zbudował żałobnej gondoli, tak pięknej, że aż sam był tym zdziwiony. Cztery kolumny podtrzymywały sklepienie wybite

połyskliwym aksamitem. Wyrzył w drewnie słowa modlitwy, na każdej kolumnie umieścił ozdobny krzyż opleciony winoroślą, kiście winogron, kwiaty lili, putta z trąbkami, czarownicę wyrrywającą sobie włosy z głowy, mitologiczne stworzenia splecione w miłosnym uścisku, Herkulesa roniącego łzy na szczycie góry, a przy sterze Orfeusza ze złotą lirą, gotowego śpiewać swą pieśń aż do wrót Hadesu. Kiedy gondola została spuszczone na wodę, by przyjąć ciało ostatniej córki Umberta, zwróciła na nią uwagę pewna księżna i zamówiła taką samą dla męża, który właśnie przeniósł się na tamten świat z powodu syfilisu. Od tamąd gondole Firiellego służyły do przewozu najznamienitszych zmarłych Wenecji.

Oto, co opowiedział Nonno Umberto. Ignazio wysłuchał go, ale był przekonany, że to wszystko bajki. Nie wierzył, że dziadek, który teraz ledwie mógł donieść do ust widelec, potrafił wyrzeźbić w trzy dni taką piękną gondolę. Nie wierzył, że anioł stanął kiedykolwiek u stóp jego łóżka. Nie wyobrażał też sobie, by jego ojciec, Diego, postradał jako mały chłopiec zdolność mówienia, bo przecież teraz nie był ani mały, ani cichy. Ignazio zawsze kojarzył ojca z nadmiarem: olbrzym, który miał za dużo włosów, zbyt szybko opróżniał zbyt wielką liczbę butelek z winem, śmiał się głośno w niewłaściwych momentach (jego śmiech był drapieżny i gdy się nasilał, atakował jak ostre pazury wściekłego ptaszyska). Wszyscy przy nim gaśli – Ignazio, jego bracia, jego siostry, jego szerokobiodra matka, kochająca swoje dzieci z impetem byka, i nawet Nonno ze swoim fotelem na biegunach, swoim oknem, pomarszczoną skórą, Nonno wycofany z życia do tego stopnia, że przestał rzeźbić, przestał nadawać kształt rzeczom i tylko przyglądał się, jak kołyszą się na wodzie lub toną w kanałach.

Pewnego wieczoru latem, po kolacji, kiedy dom pozostawał jeszcze odrętwiały od upału, Ignazio, aczkolwiek niechętnie,

rozstał się z dzieciństwem. Była środa. Miał dwanaście lat. Z kuchni dochodziło chlupotanie wody – to siostry zmywały naczynia. Ojciec zarzucił płaszcz na ramiona. Policzki miał czerwone od wina. Starsi bracia Ignazia zrobili to co ojciec i czekali z rękami w kieszeniach. Diego Firielli zwrócił się ku najmłodszemu synowi i gestem pokazał mu „chodź”. Bracia wybuchnęli śmiechem. Ignazio spiekł raka i rzucił się po płaszcz.

Gondola czekała na nich, kołysząc się obojętnie na wodzie. Ignazio wszedł jako ostatni. Wiatr śmigał po kanale, gdy posuwali się przed siebie w ciszy. Diego spojrział na Ignazia jakoś dziwnie, trochę wyczekująco, a trochę ironicznie. Burza rozpuszczonych włosów ojca zasłaniała Ignaziowi widok na miasto.

Było późno, nawet jak na Wenecję, ale dom, do którego przybyli, wypełniały światła, hałas i kobiety. Draperie z czerwonego aksamitu zwieszały się aż do podłogi, wino lało się strumieniami, ktoś wygrywał na akordeonie smętne tony, ale kobiety śmiały się żywiołowo, kołysały biodrami i ocierały się o mężczyzn. Ignazio stanął w kącie między zasłoną z aksamitu a ozdobną lampą. Starał się na nikogo nie patrzeć. Najbardziej życzyłby sobie, żeby lampa zgasła, a on mógł po prostu wtopić się w mur. Odsunął się od kręgu światła, ale w tym momencie podszedł do niego ojciec z dziewczyną u każdego boku. „Zajmij się nim”, powiedział, popychając jedną ku synowi.

Na górze, na starym materacu, Ignazio dotknął drżącymi rękami kolana dziewczyny. Było zimne i gładkie. Ramiona miała obsypane piegami. Czarne pukle okalały jej twarz. Siedziała na wąskim łóżku, lekko odchyłona. Ignazio czuł się niepewnie, bał się jej i jednocześnie był upokorzony własnym strachem. Dotknął rąbka jej sukni, a ponieważ nie posunął się dalej, dziewczyna zaczęła przewracać oczami, aż w końcu zabrała się do jego rozporka. Kiedy dwie minuty później zagłębiał

się w nią, zza kotary po lewej stronie doszedł go głos ojca wydającego rytmiczne jęki. Uświadomił sobie, że ojciec też może go słyszeć. Przeraził się, że popełni jakąś niezręczność i zdradzi się dźwiękiem. Okazało się jednak, że jęknął we właściwym czasie, a zresztą ojciec go zagłuszył. Dziewczyna przez cały czas leżała spokojnie, jak rozgnieciona brzoskwinia, miękka, wilgotna i niepokojąca. Ojciec skończył. W szczytowym momencie Ignazio ugryzł dziewczynę w szyję – w całkowitej ciszy.

Wkrótce potem zaczęło się robić coraz gorzej i gorzej. Kiedy Ignazio skończył trzynaście lat, jego głos nabrał głębi, a ojciec złamał matce żebro. Gdy miał czternaście lat, wszedł pewnej nocy do kuchni, a widok, który zastał, przyprawił go o ciarki: ojciec siedział przy stole i bezgłośnie szlochał przy pustym kieliszku. Brodę miał mokrą od smarków i łez. Ignazio wycofał się cichutko, wrócił do łóżka i przewracał się bez wytchnienia, słuchając chrapiącego Nonno, dopóki nie wstało słońce.

Piętnastoletni Ignazio przycinał, piaskował, drążył, zbijał i dopasowywał, aż jego dłonie zrobiły się szorstkie i twarde. Wstawał do pracy przed świtem, kładł się późno, a jednak warsztat Firiellich balansował na granicy upadku. Diego przyjmował nowe zamówienia, ale nie dotrzymywał zobowiązań. Zrobione do połowy gondole czekały nie wiadomo na co. Mijały daty pogrzebów, rodziny zgłaszające się po odbiór łodzi odchodziły z niczym. Klienci przestawali ufać Firiellim, a wieczorny posiłek rodziny stawał się coraz skromniejszy. Kiedy Ignazio skończył szesnaście lat, jego rodzeństwo pożeniło się albo powychodziło za mąż, zamówienia spadły o połowę, a głód stał się mu równie znajomy, jak chłupot wody uderzającej o wbite w dno pale.

Pewnej nocy Diego roztrzaskał w burdelu kandelabr i dwa krzesła. Został stamtąd wyrzucony, a na odchodnym usłyszał, żeby więcej się nie pokazywał. Już w następną noc nalegał tak bardzo, że Ignazio znowu przycumował gondolę u stopni

wiodących do przybytku rozkoszy.

– Chodź ze mną.

Ignazio pokręcił głową.

Ojciec wygramolił się na łąd, pijany, ledwie trzymający się na nogach. Zastukał mosiężną kołatką o pomalowane na złoto drzwi i zaczął wrzeszczeć, żeby go wpuścić. Wyszło trzech strażników. Wymierzili mu kilka ciosów, ściągnęli w dół schodów i wrzucili do gondoli, tak że zakołysała się gwałtownie pod jego ciężarem.

– Nie macie prawa! – zacharczał Diego.

– Zamknij gębę! – odwarknął jeden ze strażników. Ignazio nie mógł dojrzeć jego twarzy, chociaż ten zwrócił się ku niemu: – Nie potrafisz upilnować ojca? Na Boga, zadbaj o dobre imię rodziny.

Ignazio poczuł, że zalewa go fala gorąca. Najchętniej wskoczyłby do kanału, popłynął jak najdalej i już nigdy nie wrócił. Pokiwał tylko głową i zaczął wiosłować.

Pół roku później, w zimie, pewnej chłodnej nocy Diego roztrzaskał czaszkę żony o ścianę i uciekł. Wody kanału burzyły się na wietrze. Ignazio widział z okna pokoju cień ojca na brzegu. Po chwili cień upadł, jakby dosięgła go niewidzialna pięść.

Ignazio przeleżał w ciszy na łóżku do czasu, aż z kuchni dobiegły go biadania szwagierki: „Mamma nie żyje, mamma umarła!”. Zamknął oczy. Myślał o matce, o tym, jak go całowała, kiedy miał sześć lat i rozbił sobie kolano, o jej obfitych piersiach, w które chował głowę jak do wnętrza muszli, a one go otulały, tak że prawie nic nie słyszał; przypominał sobie, jak podśpiewywała przy kuchennym stole, zagniatając ciasto na gnocchi, i jak patrzyła na niego podpuchniętymi oczami, gdy podobnie jak bracia zakładał w sieni płaszcz. Paliło go w piersiach. Gdyby ojciec sam nie rzucił się do wody, wtedy on zabiłby go gołymi rękami. Usłyszał, jak Nonno siada na swoim

łóżku: „Co się dzieje?”

Następne pięć godzin Ignazio spędził na obmywaniu ciała matki i usuwaniu śladów krwi ze ścian.

Dwa dni później ciało Diega wynurzyło się pod domem pewnego hrabiego – który kiedyś zamówił u niego gondolę, ale nigdy nie doczekał się realizacji zamówienia – akurat na czas, aby podróż na San Michele odbył razem z żoną.

Niebo było blade ze zgorzenia. Trumny płynęły otoczone gondolami żałobników – synów z żonami, córek z mężami, ich dzieci, ciotecznych babek i wujów w czerni. Wyspa San Michele majaczyła przed nimi jak miasto grobów, ściągając ku sobie modlitwy i szlochania, które unosiły się nad wodą.

Ignazio wiosłował jak we śnie. Świat nie był już dla niego światem, lecz obcą i niezrozumiałą atrapą. Rozpaczający ludzie wyglądali jak postacie z obrazu, które tylko udają, że są prawdziwe. Jeden Nonno Umberto wydawał się człowiekiem z krwi i kości. Oddychał ciężko, tak że Ignazio słyszał jego sapanie wyraźniej niż zdrowaśki kobiet. Przy wysiadaniu Nonno wsparł się na jego ramieniu. Pachniał mieszanką mydła, octu i potu.

Potem były rzędy grobowców, modlitwy księdza, łzy ciotek i odsuwanie ciężkiej płyty, aby spuścić trumny. Ignazio patrzył, jak doczesne szczątki rodziców (męża i żony, zabójcy i ofiary) powoli zagłębiają się razem w ciemności. Jego bracia wepchnęli płytę na miejsce, zamykając obydwójce na zawsze. Zazgrzytał kamień.

– Ignazio – powiedział dziadek. – Przejdź się ze mną kawałek.

Zostawili rozmodlony tłum i odeszli brukowaną ścieżką. Dookoła pyszniły się zdobione rzeźbami groby bogaczy, z których każdy był dwa razy większy od kuchni w domu Firiellich. Napotykali spojrzenia sylfid, mitycznych bożków i

zasmuconych aniołów. Potem zaczęły się skromne, usypane z ziemi groby. Nonno przystanął przy jednym z nich. Ignazio przeczytał nazwiska wyryte na marmurowej tabliczce: *Porzia Firielli, Donato Firielli, Armino Firielli, Rosa Firielli, Eracla Firielli, Isabella Firielli*. Powtórzył je sobie po cichu: Donato, Teresa, Francisco, Rosa, Emilia, Isabella. To byli jego wujowie i ciotki, nieznanym duchy, dzieci, których życie zostało tak wcześniej przerwane.

– Jeśli chodzi o twojego ojca – zaczął Nonno, wbijając wzrok w ziemię – musisz być inny niż on.

– Wiem.

– Ale musisz też się z nim pogodzić.

– Przecież umarł.

– No właśnie.

Ignazio kopnął kamyk, który skądś się napatoczył, i obojętnie kiwnął głową.

– Wyjedziesz teraz, prawda?

– Czy wyjadę?

– Wiesz, że nie możesz tu zostać.

Ignazio poczuł się tak, jakby był przezroczystry. A więc Nonno wszystko wiedział. Albo się domyślił. Matka zmarła, interes podupadł, starsi bracia walczyli jak sępy o to, co pozostało, siostry znalazły sobie mężów w innych miastach. Rodzinne gniazdo zamieniło się w dom cieni.

Nonno Umberto wyglądał na bardzo zmęczonego.

– Powinieneś wyjechać. Nasze imię jest przekłete. A wkrótce we Włoszech wybuchnie wojna – dodał, nachylając się tak, że Ignazio czuł cierpki zapach jego białych włosów. – Posłuchaj: mam trochę pieniędzy schowanych pod podłogą, wyślę ci je do Nowego Świata, jeżeli przysięgniesz, że będziesz coś tam budował. Może gondole, a może coś innego, potrzebnego akurat tam i wartego zachodu. Cokolwiek. Przysięgnij.

W tym momencie rozerwała się zasłona, która jeszcze parę chwil temu skrywała świat Ignazia – już nie śnił, rzeczy przestały być atrapami lub kształtami z obrazu. Poczuł, że stoi obydwoma nogami na ziemi, że co prawda otaczają go zmarli, ale jego ciało okrywa świeża, żywa skóra.

– Przysięgam – powiedział.

Kiedy wrócili w pobliże rodzinnego grobu, Ignazio spojrział na wznoszącą się za wodą Wenecję. Miasto ukazywało ludzkim oczom swoje niezmierzone, ale czasami śmiertelnie niebezpieczne piękno. Gondole przecinały w ciszy zatokę, lecz on myślał już o szerokich rzekach i wzburzonych oceanach, które hen, daleko, opływają Bóg wie jakie lądy.

Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- swiatksiazki.pl
- empik.com
- bonito.pl
- taniaksiążka.pl

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również w formie **e-booków**.
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarni i na stronę wydawnictwoalbatros.com, gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).